

Magdalena Białek

**Pora umierać\***

*Sztuka umierania. Akt I* Konrada Szybki pod względem tematyki dobrze wpisuje się w Lovecraftowski numer „Creatio Fantastica” – znajdziemy w tej powieści i przekłete starożytne artefakty, i wyznawców boga-potwora, i stałą atmosferę zagrożenia... Nie znajdziemy jednak, o (z)grozo, dobrego warsztatu pisarskiego, a jest to brak odczuwalny bardziej niż ból po kończynie utraconej na rzecz bestii z odmętów.

Pierwszy rozdział (a właściwie „Scena I”) wrzuca czytelnika w środek groteskowej sceny, będącej jednym z dwóch onirycznych fragmentów umieszczonych w powieści. Zabieg ten miał zapewne na celu zbudowanie napięcia lub przyciągnięcie uwagi. Niestety wspomniana groteskowość i bardzo luźny związek z resztą fabuły każą czytelnikowi rzucić pytaniem: „po co?”, i z każdym kolejnym akapitem przekonywać się, że – właściwie nie wiadomo. Szkoda, ponieważ ów fragment odwraca uwagę od całkiem sprawnie zbudowanego początku opowieści: Aleister Sheldler, lekarz uzależniony od morfiny i gier komputerowych, zamieszkuje samotnie wyspę; pewnej burzowej, ponurej nocy doświadcza dwóch największych katastrof dla gracza i narkomana – niemal równocześnie dopada go głód narkotykowy oraz brak połączenia z Internetem. To jednak dopiero początek kłopotów, bo chwilę potem fale szalejącego sztormu wyrzucają na plażę małą dziewczynkę. Aleister decyduje się uratować dziecko i zanosz je do pokoju, w którym kiedyś mieszkała jego córka. Szwankująca technologia, wiatr wyjący w ciemnych korytarzach, podejrzany manekin i zmysły, które zaczynają płątać figle – to wszystko tworzy odpowiedni klimat, z którego mógłby urodzić się przyzwoity horror. Autor jednak prędko rezygnuje z tego, co jest tak cenione przez wielu miłośników gatunku: odwlekania bezpośredniej konfron-

\* Recenzja książki: Konrad Szybka, *Sztuka umierania. Akt I*, Kraków: 2016, ISBN: 978-83-945289-0-4.

tacji z nieznanym i trzymaniu odbiorców w pełnej napięcia niepewności. Owszem, większość tajemnic pozostaje niewyjaśniona (nawet po przekroczeniu przez czytającego ostatniej kropki powieści), jednak zbyt szybko i zbyt bezpośrednio czytelnik zostaje zaznajomiony z zagrożeniami czyhającymi na głównego bohatera. Kolejne rozdziały *Sztuki umierania* nasycone są drastycznymi scenami, które często nie wnoszą nic do fabuły (lub wnoszą niewiele). Mimo epatowania brutalnością trudno tutaj jednak o dreszcz grozy – być może zabrakło odpowiedniego jej stopniowania, może umiejętności ukazania cierpienia w sposób przemawiający do empatii odbiorcy. Owe fragmenty wydają się zatem – *nomen omen* – „sztuką dla sztuki”, ponieważ wątki urywają się, a bohaterowie znikają ze sceny bez żadnych implikacji dla historii. Niedopracowaną stroną powieści jest także psychologia postaci – *Sztuka* pod tym względem sprawia wrażenie bardziej nastawionej na wartką akcję niż na wiarygodność emocji targających bohaterem i pogłębienie motywacji, którymi ten się kieruje.

Największym problemem fabularnym *Sztuki umierania* wydaje się pomysł na główną siłę antagonistyczną. Bez wgłębiania się w szczegóły całej idei (*spoilery*) – wątek sekty zaprezentowany w takim kształcie musiałby trafić w ręce mistrza pióra, aby nie brzmieć absurdalnie. Niewątpliwie mamy tu do czynienia z niezwyklej kreatywnością, jednak kreatywność ta poszła o krok za daleko – szalone pomysły w *weird fiction* są jak najbardziej w cenie, ale stworzenie hybrydy takowych i umieszczenie jej w powieści, która ma na celu wywołać grozę na poważnie, wymagałoby dobrego warsztatu i równie dobrego wyczucia. Docenić należy jednak niezaprzeczalną inspirację prozą Samotnika z Providence, szczególnie tam, gdzie pojawiają się nadnaturalne stworzenia – miły akcent dla miłośników Lovecrafta.

*Sztuce umierania* nie można odmówić wartkiej akcji. Historia jest wciągająca od pierwszej strony (choć efekt trochę psują wspomniane wyżej quasi-oniryczne wątki), a podróż głównego bohatera przez opuszczone miasto należy do najbardziej udanych fragmentów. Proporcje między opisami a dialogami (czy też częściej – monologiem wewnętrznym) są dobrze wyważone, zaś nieszczęsny Aleister ma mało momentów wytchnienia od ścigających go koszmarów – to sprawia, że nie przerwiemy lektury z powodu znużenia. Odnosi się wrażenie, że wraz z postępem akcji poprawia się również styl pisania, przechodząc w bardziej płynny. Zanim to jednak nastąpi, trzeba przebrnąć przez liczne stylistyczne nieporadności (jak na przykład „Zawył w myślach, a w oczach stanęły mu gwiazdy”) i nie zrazić się nie do końca wypracowanym warsztatem.

Zakończenie nie pozostawia żadnych wątpliwości – należy spodziewać się kontynuacji losów Aleistera Sheldlera. Pierwszy akt jego walki o przetrwanie nie jest może wybitnym debiutem, ale zapowiada powieści przyciągające uwagę czytelnika, zapewniające dobrą rozrywkę i zawierające interesujące pomysły – jeśli tylko autor nie porzuci pióra i będzie dalej pracował nad swoimi *weird worlds* i sposobami ich ukazywania.